

# OPOWIEŚĆ WIGLIJNA



1.

Ocieżały, nie tyle może z przejedzenia, gdyż to nie wypada przecież w wieczór wigilijny, co raczej napętliony przeróżnymi napojami – ale i jedno, i drugie odbyło się w rodzinnym gronie, tak że o żadnym zgorszeniu publicznym mowy być nie mogło – poczułem ogarniającą mnie nostalgię. Opuściłem więc rodzinę, przeszedłem do „saloniku” i zapadłem w swój ulubiony fotel, stojący między kominkiem i oknem wychodzącym na ogród.

Był to jeden z najprzyjemniejszych momentów Wigilii. Wieczera dobiegła końca życzenia zostały złożone, prezenty rozdane, toasty wychylone, koledy odśpiewane – nic, tylko odpocząć w błogim bezruchu i porozmyślać. Nawet pogoda była wymarzona do tego; śnieg, nie poruszony najlżejszym choćby podmuchem wiatru – spadał cicho wielkimi płatami. Cały świat jakby zamarł w tej chwili...

Zamarł, ale tylko dla mnie. W głębi domu nadal toczyło się życie. Kobiety – żona, córki, synowe – sprzątały i zmywały, starsze wnuki włączyły jakąś „swoją” muzykę, a młodsze bawiły się dość hałaśliwie. I tylko ja pozostawałem w enklawie względnie nie zakłóconego spokoju. Stało się to już tradycją, tak samo jak moja ulubiona część Wigilii, która miała za jakiś czas nastąpić. Gdy tylko starsi (synowie i zięciowie znaczy) uznają że nacieszyłem się już samotnością i spokojem, pozwolą wpaść do mnie całej czeredzie wnucząt, które zasypią mnie prośbami o wspomnienia. A ja będę się wzbraniał na niby, ale ulegnę w końcu, szczególnie gdy moje co starsze i ładniejsze wnuczki zaczną mnie obłapiać i całować. Ktoś mi tam, w dodatku, włoży kieliszek dobrego koniaku do ręki, więc rozpocznę...

2.

Rzeczywiście, mam co wspominać i opowiadać, i bardzo to lubię w dodatku. Jako naoczny świadek i uczestnik w całym przebiegu tych wydarzeń, udzielałem niegdyś setek wywiadów, napisałem kilka tomów wspomnień, ale żywa opowieść z żywymi słuchaczami, jest czymś zupełnie innym. Dopiero podczas niej człowiek przeżywa swoją przeszłość w takim stopniu i z taką intensywnością, iż wydaje mu się, że znów jest w tym samym miejscu i jednym słowem albo ruchem ręki może coś jeszcze zmienić.

W tegoroczną Wigilię grono „słuchaczy” było nadzwyczaj liczne. Już nie tylko wnuki, ale i sporo starszych. Uda wałem zaskoczenie ich ponownym zainteresowaniem się wielokrotnie słyszaną historią, ale dobrze wiedziałem, co się za tym kryje. Nie mogłem przecież nie zauważyć wymowych spojrzeń rzucanych na mnie, szeptów z moim lekarzem... A więc według nich jest to ostatnia okazja do posłuchania mnie? Zobaczymy. Może przekonają się, że są w błędzie. W końcu sam najlepiej wiem na co cierpię, co może mi pomóc i ile mi jeszcze zostało. Poczekajmy do przyszłej Wigilii!

Ale cień niepokoju tkwił jednak we mnie. A nuż mają rację? Na wszelki wypadek opowiem im dziś więcej. Bo, prawdę powiedziawszy, to ostatnimi czasy zachowywali się słuchając moich wspomnień tak, jak przy oglądaniu videofonicznego zapisu walki bokserskiej, gdzie znają i wynik, i każdy cios, i kluczową sekundę, ale udają wewnętrznie, iż pierwszy raz to widzą a w rzeczywistości interesują ich tylko wybrane fragmenty. Tak i we wspomnieniach z tego miesiąca, który kosztował mnie z dziesięć lat życia ciekawiły ich tylko

pewne momenty. Dobrze opowiem im dzisiaj wszystko, łącznie z moimi prze-  
myśleniami. Może naruszę trochę ich  
dobre samopoczucie...

- Dziadku! Dziadku...

- Co, kochanie? - otrząsnąłem się  
z zadumy.

- Opowiadaj już! - zniecierpliwiła  
się najbezczelniejsza z moich wnuczek.

3.

... Kończymy oto szczęśliwie rok  
2041. To, o czym chcecie usłyszeć, działo  
się trzynaście lat temu, w pamiętnym  
dwudziestym ósmym. Boże, cóż to były  
za czasy! Człowiek, spożywający w spo-  
koju dary Boże, nie wierzy wręcz włas-  
nej pamięci. Późne lata dwudzieste...  
Toż z rozrzewnieniem wspominaliśmy  
podówczas tak ponure czasy, jak prze-  
łom tysiącleci i prezydenturę Donovana,  
którego główną - do dziś pod nieba  
wynoszoną, - zasługą było to, iż potrafił  
zawrócić z połowy drogi większość stra-  
tegicznych rakiet dalekiego zasięgu.  
A takiego, na przykład, O'Briana z lat  
dziewięćdziesiątych to wszyscy utożsa-  
miali już z Dobrym Wujem Samem,  
a czarni tradycjonałści - wręcz z Wu-  
jem Tomem. Wyobrażcie więc sobie, jak-  
że były n a s z e czasy!

Zapewne, zdolność przetrwania na-  
szego gatunku biologicznego jest znacz-  
na; na to przecież pracowała cała ta  
Ewolucja. Szczególnie zaś widać to  
w sferze psychicznej, a przynajmniej  
widać to było na przykładzie mojego  
pokolenia. Wysunęliśmy wówczas na-  
wet tezę, iż człowiek jako gatunek może  
wytrzymać dowolnie wielkie ciśnienie  
psychiczne (a w związku z tym - znacz-  
nie zredukowaliśmy nakłady na tak  
zwaną „wojnę psychologiczną”) Bo czyż  
nie trzeba było być super zahartowa-  
nym, aby znosić każdego tygodnia ze  
trzy konflikty lokalne, codzienne utar-  
czki na Sesji Ogólnej ONZ (obradującej  
już wówczas non-stop, a mającej nad  
sobą ze trzy ciała wyższe), przynajmniej

jedno kategoriyczne w tonie ultimatum  
któregoś z mocarstw i inne, pomniejsze  
„atrakcje”? A wszystko to jeszcze poda-  
wane w odpowiednio udramatyzowanej  
postaci przez konkurujące ze sobą środ-  
ki masowego przekazu... Nie zawsze  
kończyło się to na słowach. Średnio dwa  
razy do roku dochodziło do peryferyj-  
nych starć nuklearnych pomiędzy po-  
mniejszymi krajami względnie innych  
zastosowań broni jądrowej (mieli ją wów-  
czas wszyscy, łącznie z międzynarodo-  
wymi koncernami i ugrupowaniami ter-  
rorystycznymi), których skutki z naj-  
wyższym trudem łagodzone były przez  
supermocarstwa. Te z kolei, unikając  
bezpośredniej konfrontacji na Ziemi,  
zwalczały militarne obiekty kosmiczne  
przeciwnika, ale tylko bezzałogowe,  
gdyż przyjęło się „obustronnie” uważać,  
iż mieści się to jeszcze w szeroko pojętej  
sferze działań „politycznych”. Jak więc,  
choć odrobinę trzeźwo myślący czło-  
wiek - a wielu uciekało przed tym w al-  
kohol lub narkotyki - mógł zachować  
równowagę psychiczną?

A przecież to wszystko byli „prości”  
ludzie. Skala moich smartwien i obaw  
była znacznie większa. Byłem przecież  
członkiem ścisłego kierownictwa Cen-  
trum Dyspozycyjnego, jak to wówczas  
eufemistycznie określano, a więc i moja  
wiedza o rzeczywistym zagrożeniu i sto-  
pniu balansowania nad przepaścią była  
nieporównanie głębsza.

Na pewno nie można było zaliczyć  
mnie do „gołębi”, ale i tak często ogar-  
niało mnie przerażenie.

4.

Pogoda w Wigilię owego roku, była,  
wypisz wymaluj, taka jak dzisiaj. Nie-  
stety, nie przysporzyło mi to radości.  
Prawie cały wieczór przeklinałem los,  
który kazał mi właśnie w ten dzień peł-  
nić dyżur w Centrum. Trudno, jeśli już  
„chciałem” być jego najmłodszym wie-  
kiem generałem, musiałem znosić  
wszelkie związane z tym niedogodności,

jak chociażby takie właśnie zwalanie na mnie służby w przeróżne święta. A nie były to już zwykłe, rutynowe dyżury, jak jeszcze jakieś dwadzieścia lat wcześniej. Wtedy, gdy wymagany czas reakcji sięgał minut i tyle czasu było na podjęcie decyzji, można było bawić się w jakieś Połączone Sztaby i konsultacje z Prezydentem oraz systemem komputerowym. Dopiero całe to szacowne gremium decydowało o użyciu takich czy innych środków. Za moich czasów należało to już do przeszłości.

Niewspółmiernie większa szybkość współczesnych nam środków przenoszenia, szczególnie tych przyczajonych na tajnych orbitach, wymagała reakcji opóźnionych co najwyżej o sekundy. Decyzja musiała więc być praktycznie natychmiastowa, a zbiorowa mogła być o tyle, o ile w Centrum znajdowało się akurat kilku członków jego kierownictwa. Natomiast nocami, czy tak jak wtedy, w święta, jednoosobowa decyzja leżała w rękach dyżurującego. Celowo nie dublowano tej funkcji; ewentualne dyskusje czy spory mogły wnieść krytyczne opóźnienie. Uczucia podczas jej pełnienia wcale nie były przyjemne, przynajmniej dla mnie. Człowieka, mającego w zasięgu ręki środki uruchamiania sił mogących zniszczyć całą naszą planetę, ogarniały przeróżne refleksje, najczęściej natury filozoficznej, czy wręcz metafizycznej.

Oczywiście, nie wszystko było w moich rękach. Dysponowałem kompletem środków obronnych i odwetowych, nie mogłem natomiast sam rozpocząć zmasowanego ataku. Tu decyzja leżała jeszcze w rękach Prezydenta i Sztabu. Na miejscu, w Centrum, nadzorował to System Komputerowy sprzężony z wszystkimi receptorami Sił Zbrojnych i wyspecjalizowanych Agencji (stacjami, satelitami, wysuniętymi posterunkami, a nawet pojedynczymi agentami), który nieustannie analizował napływającą z nich informację. Gdy uznał, że poziom

zagrożenia przekracza krytyczny, , od-  
dawał w ręce dyżurującego wszelkie „klucze” i „guziki” wraz ze swymi sugestiami co do dalszych działań. Sam nie mógł zrobić niczego. Z kolei dyżurujący mógł zażądać od Systemu przekazania mu wszystkich środków, motywując to lub nie. Ten zaś mógł, ale nie musiał się zgodzić, żądał najczęściej dodatkowych wyjaśnień, dyskutował... Tak, już ówczesne systemy jedenastej generacji zdolne były do tego. Nasz największy i najnowocześniejszy w owym czasie, potrafił posuwać się nawet do grubiaństwa – na przykład kwestionowania kompetencji czy wręcz zdolności umysłowych rozmówcy. Tylko Prezydent i SzeF Centrum znali kod umożliwiający bezwarunkowe przejęcie wszystkiego.

5.

Mniej więcej do szóstej trzydzieści cztery nic się nie działo. Mniej więcej, gdyż od pewnego czasu nie śledziłem rozlicznych ekranów, wskaźników i komunikatów na monitorze, zdając się całkowicie na System. A w tej właśnie minucie ogarnąłem całość wzrokiem...

Na moment sparaliżowało mnie, a w chwilę później każda część – zarówno mojego ciała, jak i układu nerwowego – rozpoczęła wykonywanie odrębnych, chaotycznych i nieskoordynowanych czynności. Nie bez powodu. Ekran optycznej obserwacji rejonu Centrum wskazywał, iż prawie bezpośrednio nad nim znajduje się (tak jest, był on nieruchomy!) owalny obiekt niewiadomego pochodzenia. Ale to jeszcze nic. Wskaźniki jego wysokości i względnej średnicy określały jego rozmiary na przekraczające dwie mile!

Jedynym rozsądnym wytłumaczeniem, jakie przyszło mi do głowy było, iż jest to jakiś nowy, rewelacyjny typ broni grawitacyjnej. My również pracowaliśmy nad tym, ale z efektami wyłącznie laboratoryjnymi. A tutaj?

Działać musiałem błyskawicznie. I tak zbyt dużo czasu straciłem na skutek zaskoczenia. O dziwo, System także jeszcze nie reagował. Zaczęły natomiast napływać historyczne sygnały i meldunki od placówek, w zasięgu których znajdował się obiekt. Przełączyłem więc wszystkie klucze alarmu i zażądałem od Systemu natychmiastowego przekazania mi uprawnień decyzyjnych.

- Brak podstaw - beznamiętnie odpowiedział System.

- Wskaźniki wizyjne 013,022 i następne oraz... - zerknąłem na odpowiednie wskaźniki radiolokacji. Ale one nie wskazywały niczego. - Brak wskazań lokacyjnych jest nieistotny. Prawdopodobnie ugięcie fal w tym zakresie przez obiekt - wyjaśniłem, sam w to nie wierząc.

- Nadal brak podstaw - obstawał przy swoim System.

- Dlaczego?

- Obiekty militarne takiej klasy nie istnieją. Nie ma powodu do przeciwdziałania.

Dalszy dialog nie miał sensu. Wiedziałem dobrze, że bez nowych danych System nie zmieni decyzji. Musiałem zatem odwołać się do Szefa lub Prezydenta. Z dwojga złego wolałem to pierwsze. Co prawda Szef był cholerykiem i czułem jego reakcję na przerwanie Wigilii, unikałem za to konieczności długich wyjaśnień (kto? po co? rzeczywiście?) i zrzędzenia, typowych dla Prezydenta. Połączyłem się z Szefem przez sztabowy videofon.

Krótko wyjaśniłem o co chodzi i pokazałem obraz z ekranu kontrolnego. Szef nie popadał tak łatwo w panikę. Przede wszystkim spytał, czy jest to jedyny obcy obiekt nad naszym terytorium. To sprawdziłem od razu po zauważeniu tamtego. Był jedyny.

- To bardzo źle - krótko skomentował i przystąpił do działania. Swoim prywatnym kanałem połączył się z Systemem i po jakichś piętnastu sekundach

przekazał mi całą kontrolę. Zalecił mi zniszczenie obiektu przy użyciu maksymalnie oszczędnych, możliwie konwencjonalnych środków i oznajmił, iż sam zjawi się w Centrum za kilkanaście minut.

6.

Przystępując do konkretnych działań zdążyłem już całkowicie ochłonąć. Zrozumiałem nawet pozornie bezsensowne zaniepokojenie Szefa brakiem innych obiektów. Rzeczywiście, jakim cudem jedyny obiekt trafił precyzyjnie nad nasze (umieszczone dobry kilometr pod powierzchnią) Centrum, którego lokalizacja była jedną z najsilniej strzeżonych tajemnic państwowych?

Na początek poleciłem odpalenie rakiety ziemia-powietrze z konwencjonalnym ładunkiem dużej mocy oraz wysłałem trzy eskadry myśliwców dla bliższej obserwacji naszych działań. Efekt pierwszej rakiety miał bowiem rozstrzygnąć podstawową kwestię: czy mamy do czynienia z obiektem materialnym, na co wskazywałyby obserwacje, czy też z jakimś złudzeniem, sugerowanym brakiem wskazań radiolokacyjnych.

Stało na pierwszej wersji. Obiekt był bezsprzecznie materialny (rakietą zderzyła się z nim) i to do tego stopnia, iż eksplozja nie pozostawiła żadnych śladów na jego powierzchni, podobnie jak i ostrzeliwanie go z pokładowej broni myśliwców. W dodatku nie reagował on zupełnie na nasze poczynania; nadal tkwił w miejscu, kpiąc jakby z nas.

Spróbowałem więc potraktować go dla odmiany 25-megatowym ładunkiem nuklearnym, ale wynik był identyczny jak poprzednio. Żadnego śladu! Dalsza eskalacja nie miała więc większego sensu...

Czekałem już tylko na przybycie reszty dowództwa, gdy naraz zorientowałem się, że wszystkie urządzenia wykonawcze Centrum straciły swoją funk-



cjonalność. Nie mogłem już zrobić niczego, mogłem tylko obserwować. Nie dane mi jednak było nawet zastanowić się; w chwilę później otrzymałem wezwanie na zapasowe stanowisko Centrum, gdzie wszyscy się już zebrali i skąd przejęli całą kontrolę. Oczywiście. Nie można przecież działać z czymś takim nad głową...

Skończyłem więc swoją rolę głównego solisty i od tego momentu miałem pozostać już tylko jednym z mniej ważnych członków kierownictwa. Najważniejsze, że nadal pozostawałem bezpośrednim obserwatorem i to w samym ich centrum.

Dystans trzystu mil pokonałem pneumatycznym systemem komunikacji w niespełna pół godziny. Na zapasowym stanowisku byli już prawie wszyscy; pro forma czekali jeszcze na Prezydenta. Od „progu” zauważyłem niezwykle wzburzenie zebranych. Mieli powody. Okazało się, iż po przejściu dowodzenia przez zapasowe stanowisko, obiekt

w ciągu kilku minut przemieścił się bezpośrednio nad nie. Poza tym nie zmieniło się nic. Nadal tkwił nieruchomo na wysokości 57 200 stóp i nie przejawiał żadnej wykrywalnej aktywności.

7.

Nastąpiły długie godziny wyczekiwania, jałowych spekulacji i dyskusji nierzadko przeradzających się w kłótnie. I jeszcze to biadolenie Prezydenta... Spierano się zarówno o istotę obiektu, jak i optymalne działania. Nie podejmowano już nowych prób bezpośredniego atakowania obiektu, zaczęto się natomiast przychylić do koncepcji zmasowanego ataku na terytorium przeciwnika, ignorując na razie jego nową broń. I tu przynajmniej Prezydent i Szef wykazali rozsądek. Z niechęcią, bo z niechęcią, uruchomiono jednak nie używaną od dobrych kilkunastu lat „gorącą linię” i zażądano wyjaśnień od tamtej strony.

Zachowywali się z pełną godnością. Zaprzeczyli, jakoby z obiektem, który także obserwują od niejakiego czasu, mieli cokolwiek wspólnego, podejrzewają natomiast, że to my dokonujemy prób z jakimś nowym rodzajem pocisków super mocy. I, dla odmiany, oni zażądali wyjaśnień. Tych, rzecz jasna, udzielić nie potrafiliśmy, za to Prezydent zadał podchwytliwe pytanie, czy możemy w takim razie zniszczyć to coś. Nie zgłosili sprzeciwu; więcej – wyrazili nadzieję, iż zniknie to jak najszybciej z pola ich obserwacji.

Teraz to już zupełnie nic nie wiedzieliśmy. Po następnych godzinach, spokojniejszych już rozważań doszliśmy do najmniej prawdopodobnego, niemniej jednak jedyne wyjaśnienia. Jest to obiekt Pozaziemskiego Pochodzenia. Tylko tym wytłumaczyć można było jego parametry i odporność.

Po przyjęciu tej koncepcji nastąpiło pewne odprężenie (brak bezpośredniego zagrożenia), ale zaraz wyłoniły się nowe wątpliwości. Jakie mają zamiary? Jeśli nawet najlepsze, to jak potraktują taką formę „nawiązania kontaktu”, jaką zaprezentowaliśmy?

Coś trzeba było jednak robić. Ściągnięto zatem z NASA IV stosownych specjalistów i zaczęto wysyłać laserowe sygnały w kierunku tamtych. Tu dopiero, wyśmiewani zazwyczaj, specjaliści od cywilizacji pozaziemskich mogli się wyżyć. Bombardowali obcy statek sygnałami we wszystkich możliwych, skonstruowanych przez nich, „galaktycznych metajęzykach”, różnymi systemami kodowymi przekazywali w przystępny sposób program matematyki z trzech pierwszych klas, tudzież własne poglądy na budowę i istotę Wszechświata, a wszystko to – ku uciesze wszystkich wojskowych – bez najmniejszego skutku.

Radość nasza nie trwała jednak długo.

8.

W pewnym momencie zostaliśmy dosłownie osłepieni gwałtownym rozblyskiem wszystkich ekranów. Skuliśmy się w oczekiwaniu na eksplozję, ale okazało się, iż nie jest to uderzenie odwetowe, a tylko początek ich sygnalizacji, o mocy proporcjonalnej do rozmiarów ich statku. Gdy tylko ekrany zostały automatycznie przyciemnione, okazało się, że wysyłają oni krótki, cyklicznie powtarzający się komunikat, najprawdopodobniej w kodzie binarnym (cała sekwencja składała się z dwóch, wyraźnie różniących się typów rozblysków). Nasi „analitycy” nie mieli kłopotu z deszyfracją. Nadawano binarnie liczbę 184 730 000. Co mogłaby ona znaczyć nie mieli najmniejszego pojęcia.

Konsternacja nie trwała tym razem długo. Jeden z dyżurujących operatorów podszedł do Szefa i coś mu tam szepnął, na co ten jęknął i powiedział coś, czego nie powtórzą przy was, dziecięta. Zorientowałem się od razu była to nasza częstotliwość alarmowa na pierwszy dzień świąt, a mieliśmy go już od kilku godzin... Cóż było robić? Przełączyliśmy wszystko na tę częstotliwość i czekaliśmy przyjęcia.

To, że usłyszeliśmy głos mówiący w czystej angielszczyźnie, nie zaskoczyło nas już zupełnie. Po niespodziankach ostatnich godzin byliśmy przygotowani (przynajmniej duchowo) na wszystko.

Pierwszy ich komunikat był dość lakoniczny. Donosili, że są przedstawicielami Subgalaktycznej Federacji, na „terenie” której znajduje się nasz system i pragną w jej imieniu przeprowadzić rozmowy z kompetentnymi przedstawicielami Ziemi, a przynajmniej – zważywszy znaczne rozczłonkowanie administracyjne planety – jej czołowych mocarstw. Proponują przeprowadzenie rozmów za cztery dni w wybranym przez nas miejscu, ale nalegają aby re-

prezentująca Ziemię delegacja miała wszelkie pełnomocnictwa do zawierania umów w jej imieniu. Dodali jeszcze, iż powyższy komunikat będzie od następnego dnia nadawany we wszystkich radiowych i telewizyjnych pasmach całego świata.

Tym razem z „gorącej linii” skorzystali tamci. Ich przywódca stwierdził, że odebrali komunikat, jako miejsce spotkania zaproponował Genewę oraz trzydziestoosobowy skład delegacji obu naszych krajów. Reprezentacja „reszty świata” powinna zostać ustalona przez ONZ.

Prezydent zaakceptował propozycje, ale dla samej zasady postulował jedynie 18-osobowe składy delegacji. Stało to w efekcie na równych dwóch tuzinach.

9.

Następnego dnia zagotowało się w środkach masowego przekazu. W doniesieniach i komentarzach dominowały trzy nurty: euforia z posiadania „braci w rozumie”, spekulacje na temat treści i przebiegu rozmów oraz potępienia pod naszym adresem, za nasze „wstępne” poczynania. W tym akurat prym wiodła tamta strona, ale i nasi intelektualiści dzielnie im sekundowali.

Nasze dowództwo także nie próżnowało. W znacznie rozszerzonym składzie, „wzmocnieni” doradcami, naukowcami i politykami, obradowaliśmy przez całe cztery dni, aczkolwiek były to raczej jałowe spekulacje i pobożne życzenia. Ot, jakby to było dobrze poznać zasady budowy i napędu takich statków jak ich, a żeby jeszcze druga strona niczego się nie dowiedziała. Albo jeszcze lepiej: napuścić obcych na cały przeciwny obóz (przedstawiając cały bezmiar jego bezceństw) i doprowadzić w ten sposób do jego zniszczenia... Jednym słowem, dochodziło wręcz do bredzenia. Co do jednego byliśmy zgodni – nie stanowimy dla obcych równorzędnego

przeciwnika militarnego i nie mają żadnego sensu rozważania nad metodami ich zniszczenia lub zastraszenia.

Dantejskie sceny rozgrywały się natomiast na forum sesji ONZ, usiłującej ustalić skład ziemskiej delegacji. Każde, najmniejsze nawet państwo uważało że jego przedstawiciele muszą wejść w jej skład, z przyczyn politycznych, historycznych, moralnych, humanitarnych, tradycyjnych czy jakichkolwiek innych, a najczęściej wszystkich naraz. Po przyjęciu wstępnego, roboczego składu delegacji, uwzględniającego wszystkie postulaty i żądania, jasnym się stało, iż miejscem rozmów może być tylko stadion piłkarski. Ponieważ jednak nie wyglądałoby to ani elegancko, ani poważnie, przystąpiono do kolejnych redakcji, którym towarzyszyły protesty, płacze, lamenty i zwywania Pana Boga nadaremnie. Niemniej jednak na kilka godzin przed wyznaczonym terminem przyjęto, reprezentatywny z grubsza, dwuosobowy zespół.

Wybór naszej ekipy także nie obył się bez kontrowersji. Lista osób, które w swoim mniemaniu pełniły odpowiedzialne wysokie funkcje oraz miały szczególne zasługi kilkudziesięciokrotnie przekraczała ustalony limit. Mało mnie to wszystko obchodziło, zwłaszcza iż udział mój był raczej bezdyskusyjny i w końcu to ja pierwszy „nawiązałem kontakt”. Poza tym miałem zbyt wiele spraw na głowie. Wszak rozmowy miały odbywać się na terenie innego kraju, a więc trzeba było pomyśleć o „uruchomieniu” miejscowej rezydentury, podśłaniu odpowiedniej liczby agentów i stu innych rzeczach mających zapewnić naszej delegacji przynajmniej względne poczucie bezpieczeństwa.

Przez wszystkie te dni statek obcych przemieszczał się dość chaotycznie nad całą powierzchnią Ziemi, ani razu nie nawiązując kontaktu, aż wreszcie zajął stacjonarną pozycję nad Genewą.



10.

Zebrani w specjalnie odrestaurowanej sali zesłowiecznej Ligi Narodów już na wstępie przeżyli znaczne rozczarowanie. Spodziewali się bowiem, że ujrzą przedstawicieli obcej i bezsprzecznie wyższej cywilizacji w całej ich krasie, a tu okazało się, że rozmowy nadal prowadzone będą drogą radiową, przy czym nie raczyli nawet wytłumaczyć przyczyn. Szacowne zgromadzenie musiało to jakoś przełknąć.

Tym razem mieli znacznie więcej do powiedzenia. Rozpoczęli od rysu historycznego...

Subgalaktyczna Federacja, którą reprezentują, liczy kilkadziesiąt tysięcy naszych lat, a w skład jej wchodzi wszystkie odpowiednio rozwinięte cywilizacje naszego ramienia spiralnego. Obowiązuje pełne samostanowienie każdej ze zrzeszonych cywilizacji oraz całkowita demokracja w ramach Federacji, której podstawowymi celami są wymiany handlowe, kulturalne i naukowe, służące harmonijnemu rozwojowi każdego z jej członków. Nie bez znaczenia jest także zjednoczenie w jej ramach wszystkich sił i środków obronnych.

Następnie chętnie i wyczerpująco odpowiadano na liczne pytania delegatów. Pełny stenogram jest doskonale znany wszystkim. Jedynie dociekania na temat, przeciw komu zjednoczone są siły obronne, zbyte zostały ogólnikami o mnogości i różnorodności życia w kosmosie. Wojny? Czegoś takiego Federacja w ogóle nie zna. Pewne konflikty, owszem, ale o charakterze i rozwiązaniach daleko wykraczających poza ziemskie rozumienie.

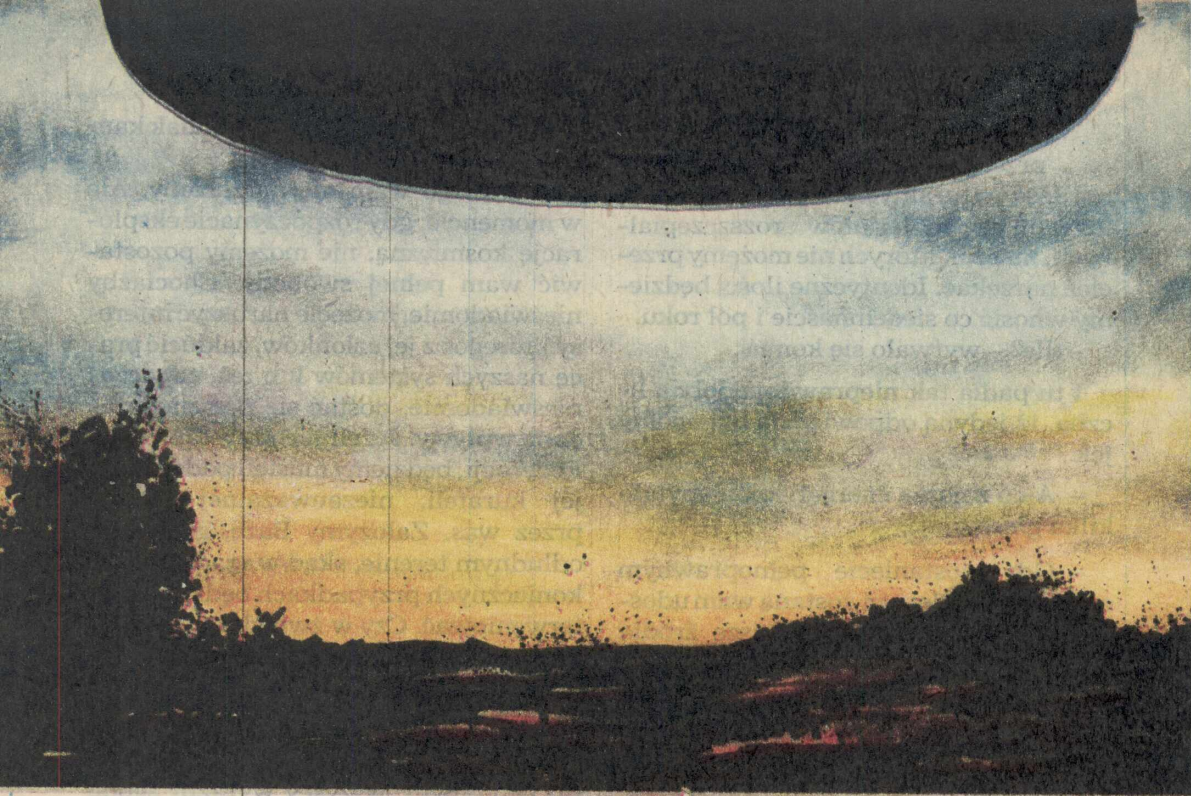
Po chwilowym wyczerpaniu pytań przeszli do meritum sprawy. Otóż Ziemia jest od dłuższego czasu przedmiotem obserwacji i studiów, dokonywanych przez wysłanników Federacji. Przedstawili oni ostatnio wniosek, w ca-

łej rozciągłości zaaprobowany przez Władze Federacji, by włączyć nas w jej skład, jako cywilizację na progu ekspansji kosmicznej. W trakcie jej rozwoju i tak zetknęlibyśmy się z przejawami działalności i przedstawicielami Federacji, prościej więc będzie dla nas od razu do niej przystąpić. Oszczędzimy sobie w ten sposób zbędne badania obszarów kosmosu dobrze już znanych, jałowych dociekań oraz energochłonnych prób nawiązania kontaktów. Zrozumiałe jest, że złożona nam propozycja stanowi dla nas zaszczyt i jest wyrazem uznania dla osiągniętego przez nas poziomu kulturalno-technicznego.

W celu uzgodnienia naszego stanowiska – i przyjęcia propozycji, zaproponowali sześciogodzinną przerwę.

Zaczęliśmy więc obrady, które zrazu szły niesporo. Aczkolwiek propozycja wyglądała rozsądnie i z miejsca zyskała sobie gorących zwolenników, niemniej jednak przebrzmiewały w niej akcenty częściowego przynajmniej ubezwłasnowolnienia nas. Szczególnie dla naszej ekipy miała ona swoje cienie. Jakby nie było, sprawowaliśmy do tej pory kontrolę nad znaczną połączoną Ziemi i mieliśmy nadzieję na rozszerzenie tego wpływu na całość, a wyglądało nam jak oś, że w ramach Federacji nic z tego nie będzie. Podobnie musiało rozumować więcej, z co bardziej rozwiniętych krajów, gdyż nie odczuwało się specjalnego entuzjazmu. Rzecz jasna, nikt nie odważył się wyrazić tego wprost; wysuwano raczej obiekcje natury moralno-filozoficznej... Czy dojrzelismy już do tego? Czy nie będzie to zbyt duży wstrząs dla naszych społeczeństw? Także i drobniejsze, szczególnie co mniej demokratyczne, kraje miały swoje obiekcje także kamuflowane hasłem: Obywaliśmy się dotąd bez tego i dobrze nam było!

I gdyby zależało to tylko od naszego zgromadzenia, sprawa rozeszłaby się



zapewne po kościach. Niestety, wszystko transmitowane było na cały świat. A stamtąd zaczęły po kilku godzinach dochodzić niepokojące wieści. Wrzenie było powszechne. Oskarżano nas o wszystko, do sabotażu włącznie. Wiece, demonstracje i protesty przeciwko naszej postawie ogarnęły wszystkie kraje. I żeby to tylko intelektualiści... Nie, wszyscy. Trudno się zresztą dziwić; dla większości mieszkańców naszej planety jakakolwiek zmiana mogła być tylko zmianą na lepsze. Ostatecznego przyspieszenia naszym obradom nadały informacje, iż głowy kilku państw, wchodzące w skład naszej delegacji, przestały już nimi być.

W imieniu całej Ziemi przekazaliśmy więc podziękowania za propozycję i wyraziliśmy gotowość do natychmiastowego jej przyjęcia.

11.

Wysłannicy Federacji z zadowoleniem przyjęli naszą decyzję i zaproponowali przejście do zagadnień formal-

nych związanych z naszym akcesem. Tu wszyscy poczuli się rażniej, gdyż w większości byli specjalistami od takich właśnie spraw – od razu na myśl przyszły listy uwierzytelniające, wizyty, re-wizyty, odznaczenia...

Nic z tych rzeczy. Sprawa była tylko jedna. Jak nam oznajmiono, przez najbliższe siedemnaście i pół roku (?) pozostaniemy kandydatem do Federacji, po którym to okresie nastąpi kolejna wizyta połączona z wymianą przedstawicieli, zaznajomieniem nas ze sprawami Federacji, adaptacją do naszych warunków wyższych technologii itd. Jedy-nym warunkiem, jaki musimy na razie spełnić to opłacenie „składek” za ten okres. Musimy bowiem zrozumieć sytuację Władz Federacji, które z „podatków” wpłacanych przez poszczególnych członków prowadzą szereg prac astroinżynieryjnych, utrzymują nadprzesztrzenne szlaki komunikacyjne oraz zapewniają bezpieczeństwo całego jej obszaru. Obciążenie nasze nie będzie zbyt wielkie, a na pewno nie przekraczające naszych możliwości...

Wszyscy zamienili się w słuch.

... przekażemy bowiem jedynie pewną ilość naturalnych i sztucznie otrzymanywanych materiałów rozszczepialnych, na brak których nie możemy przecież narzekać. Identyczne ilości będzie my wносить co siedemnaście i pół roku.

– Ile? – wyrwało się komuś.

I tu padła tak nieprawdopodobna liczba, iż jedyną odpowiedzią był ogólny jęk.

– A co z naszą energetyką? – spytało kilka głosów.

– Gdy zostaniecie pełnoprawnym członkiem Federacji zostaną wam udostępnione nowe, efektywniejsze źródła energii.

– Ale my chyba tyle nie mamy – nieśmiało zaoponował Sekretarz Generalny ONZ, przewodniczący z naszej strony obradom.

– Znajdziecie. Ułatwimy wam zresztą rozłożenie obciążenia na poszczególne kraje. Każdy z nich dostarczy następujących ilości...

Zaczęli od nas. Ilość, którą podali nie mogła być przypadkiem. Jak przeliczyłem sobie szybko w pamięci, było to prawie dokładnie 99,8% naszych zapasów. „Wszystko wiedzą” zdążyłem pomyśleć, po czym z zainteresowaniem słuchałem kolejnych wielkości. W znacznej części zgadzały się one z naszymi szacunkami, ale były i niespodzianki. Nie dość, że niektóre kraje, tak zwanego trzeciego świata posiadały nieoczekiwane zapasy, to i co poniektórzy z naszych sojuszników zgromadzili sobie poza naszymi plecami nie najgorsze arsenały nuklearne. A danym można było raczej wierzyć...

Gdy skończyli listę, po sali powiało mrozem. Wszyscy unikali swoich spojrzeń i tylko słychać było nieomal gorączkowo pracujące mózgi. W końcu ktoś nie wytrzymał ciśnienia:

– A gdybyśmy nie chcieli jednak kandydować?

– Niczego wam nie narzucamy. Ale w momencie, gdy rozpoczynacie eksploatację kosmiczną, nie możemy pozostawić wam pełnej swobody. Chociażby nieświadomie, możecie naruszyć interesy kogoś z jej członków, zakłócić pracę naszych systemów lub też, cały czas nieświadomie, dostać się pod niepożądane wpływy. Jeżeli nie przystacie do Federacji, będziemy musieli poddać was jej kurateli, niezauważalnej prawie przez was. Założymy Bazę, gdzieś na odludnym terenie, skąd w rzadkich, ale koniecznych przypadkach będziemy interweniować. Czy w związku z tym mamy zostawić wam czas na powtórne przemyślenie decyzji?

Popatrzyliśmy po sobie.

– Nie – odezwało się kilka głosów na raz. Po chwili, wszyscy wyrazili zgodę na przedstawione warunki. Zbyt dobrze czuliśmy tłum poza murami sali i w ogóle wszędzie.

Bez większych obiekcji zaakceptowaliśmy terminy, miejsca i sposób dostarczenia naszej wpłaty przez każdy z krajów.

I w ten sposób 30 grudnia zostaliśmy kandydatem na członka Federacji Subgalaktycznej.

12.

Cały świat ogarnęła euforia. Bo to i gwałtowny awans cywilizacyjny, i odsunięcie groźby zagłady... Kolejne tygodnie były jednym wielkim świętem.

A nam przyszło w pocie czoła rozbrajać głowice, demontować reaktory i elektrownie jądrowe. Później ładowaliśmy to wszystko do specjalnych pojemników dostarczanych przez ich bezzałogowe promy wahadłowe i tyleśmy to widzieli. To co pozostało, niewarte było wzmianki. W sam raz dla celów naukowych i medycznych. Perfidia ich nie miała granic.

W połowie marca odbyło się jeszcze jedno „plenarne” spotkanie. Podziękowali nam za sprawne wywiązanie się z należności życzyli wszystkiego dobrego i zapowiedzieli wizytę za siedemnaście i pół roku. Przypomnieli tylko o konieczności zgromadzenia do tej pory kolejnej raty.

Dzień później już ich nie było.

Kolejne posiedzenia naszego Dowództwa coraz bardziej przypominały stypę pogrzebową. W zasadzie można już było spokojnie rozpocząć jakąś wojnę, chociażby i globalną, bez groźby totalnej zagłady, ale – prawdę powiedziawszy – nikomu się nie chciało. Czuliśmy się tak, jakby cofnięto nas do militarnego poziomu maczugi czy prymitywnego łuku. Co? Czy specjaliści od wojen nuklearnych, a bez mała i kosmicznych, mieli teraz powrócić do Dłausewita?

Mając taką perspektywę, członkowie Dowództwa przechodzili, jeden po drugim na emeryturę. Później tendencja ta zaczęła zataczać coraz szersze kręgi. U innych było podobnie. Dobrze znacznie większe rozmiary czołowych „armii”. A i o wojnach lokalnych specjalnie nie słychać.

Wielu sądziło i sądzi, że im tylko na tym zależało, że była to czysta ingerencja – wyjęcie niczego nie rozumiejącemu dziecku zapalek z ręki. Nikt jednak nie odważył się tego głośno powiedzieć; rozdarliby go zapewne na sztuki. Byłaby to przecież całkowita deprecjacja naszego gatunku, który „dojrzał” wszak do poziomu kosmicznego. Wszyscy starali się wierzyć, iż rzeczywiście były to podatki na jakieś tam zbożne cele. Ale też, z całkowitym brakiem konsekwencji, nikt też specjalnie nie kwapił się do gromadzenia kolejnej raty; prawie żadne wydobywanie, o syntezie w ogóle nie ma co mówić. Byłe mocarstwa nuklearne, na organizowanych sporadycznie konferencjach przypominały o koniecz-

ności produkcji, ale każde starało się zwalić to na innych, samo zasłaniając się „obiektywnymi” trudnościami. A wy, tak jak prawie cały świat, potępiacie nasze rządy za opieszałość w tym względzie. Zupełnie bez powodu...

Chcecie znać moje zdanie? Co będzie działo się za cztery i pół roku? Jeżeli rzeczywiście zależało im tylko na wyjęciu nam broni z rąk, to wcale nie zmartwi ich niewypłacanie kolejnej raty. Idę o zakład, że tego się właśnie spodziewają. Co zrobią? Uznają nas za dłużników i przedłużą nasz „staż kandydacki” o drugą „kadencję”, a później o szereg następnych. Być może, iż w ogóle nie ma żadnej Federacji i była to akcja jakiejś pojedynczej cywilizacji, a raczej jej bezzałogowego statku. Tak, tak – bezzałogowego. Późno się już robi i nie będę wam tego tłumaczył, ale możecie uwierzyć mi na słowo – zbyt dużo miałem w swoim życiu do czynienia zarówno z obiektami załogowymi jak i automatycznymi, aby nie odróżnić jednych od drugich...

Boję się natomiast czegoś innego. Tego, iż rzeczywiście był to nasz wkład na rzeczywiste potrzeby rzeczywistej Federacji. Bo w takim wypadku oznacza to tylko jedno: znów znaleźliśmy się w jakimś obozie militarnym, znacznie wyższego szczebla tym razem. Zobaczymy. Jeżeli po ich powtórnym przylocie usłyszymy o jakiejś wrogiej, krwiożerczej „Konfederacji” zagrażającej naszemu związkowi, to nie zazdroszczę wam.

Z dwojga złego wolę rolę niewypłacalnego dłużnika niż sojusznika wojkowego. Nawet jeżeli wyjdziemy przy okazji na frajerów w kosmicznej skali...

No i widzicie nawet nie zauważyliśmy jak minęła północ. Ucałujcie teraz dziadka i zjeżdżajcie do łóżek.

Rozbiegli się po domu i po jakiejś godzinie zapadła kompletna cisza. Senność przeszła mi zupełnie. Nadal siedziałem wygodnie w swoim ulubionym fotelu. Śnieg padał bez przerwy...